



Armia Czarnoboga

Radosław Samlik

1. Armia Czarnoboga

Mężczyzna stał w oknie i spoglądał tępo w ciemność. Zmrużył oczy, gdy jaskrawa błyskawica rozdarła czarne niebo nad Wrocławiem. Kiedyś lubił patrzeć na deszcz. Dawniej, gdy pozwalał sobie na odrobinę szaleństwa, wskakiwał w dres i wybiegał w burzę. Z radością rozchlapывał kałuże i wsłuchiwał się w jednostajny szum deszczu. Dawniej. Teraz miał wrażenie, że owa odrobina szaleństwa rozrosła się do groteskowych rozmiarów. Radość pamiętał tylko z odległych wspomnień.

Opuścił żaluzje i zapalił światło. Rozejrzał się po pokoju. Puste butelki po whisky, pokryte pleśnią resztki niedojedzonej pizzy, wszędzie grube pokłady kurzu. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zjadł prawdziwy posiłek. Śmierdział potem i alkoholem. Szara skóra i zapadnięte oczy świadczyły o wielu nieprzespanych nocach. Nie pracował od miesięcy, ale pieniędzy mu nie brakowało. Gdy tylko doszedł do siebie po tamtym przekłętym wypadku, sprzedał dobrze prosperującą firmę i zamknął się w swoim kawalerskim mieszkaniu. Nie potrafił wrócić do domu, gdzie każdy sprzęt przypominał mu żonę i córkę. Łzy nabiegły mu do oczu. Policja stwierdziła, że to był wypadek. Awaria układu kierownicy. On jednak wiedział lepiej.

Zabrał rodzinę na szlak Orlich Gniazd. Gdy zwiedzali zamek w Ogrodzieńcu, zaczepił ich sprzedawca pamiątek. Oferował ręcznie rzeźbione wisiorki ze słowiańskimi motywami, breloczki i inną tandetę. Spławili go, ale wrócił. Tym razem z kamienną figurką wyobrażającą śpiącego smoka. Wystarczył jeden rzut oka, by zapłacili wygórowaną cenę. Wracali do domu podekscytowani, gdy nagle w samochodzie rozległ się złowrogi ryk. Kierownica

zablokowała się tuż przed zakrętem i auto z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę uderzyło w drzewo. Przeżył tylko on. Pozostałe poduszki powietrzne nie zadziałały, podobnie jak blokady pasów bezpieczeństwa.

Od tamtej pory słyszał głosy. Nie rozumiał słów, ale zło, jakie z nich emanowało, przyprawiało go o gęsią skórę. Czasem były to nieartykułowane ryki, innym razem szepty. Wciskały się w jego uszy niczym zimne, lepkie macki. Popatrzył z nienawiścią na starożytną figurkę leżącą wśród pustych butelek. Wielokrotnie próbował się jej pozbyć. Topił ją w fosie, rozbijał, podrzucał na przejeżdżające ciężarówki. Bez skutku. Każdego wieczoru smok wracał i sącył truciznę w jego duszę.

Popatrzył na zegarek. Zwykle głosy rozlegały się nieco później, miał jeszcze chwilę czasu. Wziął ze stołu butelkę whisky i pił, aż się zakrztusił. Wsadził do wieży płytę REM i nastawił *Loosing My Religion*. Nie dość, że był to jego ulubiony kawałek, to jeszcze tytuł idealnie pasował do nastroju chwili. Przekręcił potencjometr do oporu. Kilkoma głębokimi łykami opróżnił butelkę i cisnął nią o ścianę. Odetchnął głęboko. Wszedł na krzesło i nałożył na szyję pętlę.

- Pierdol się! - rzucił w kierunku smoka i zdecydowanym ruchem przewrócił krzesło.

Karykaturalne powieki, które zasłaniały kamienne oczy, drgnęły i uniosły się z wysiłkiem. Czarne czeluści piekieł spojrzały na umierającego mężczyzny. Jego wzrok zetknął się nimi i w ostatnim świadomym odruchu uniosł dłonie w obronnym geście. Chwilę później znieruchomiał. Nie zdążył nawet szarpnąć się na swojej pętli.

#

Bożydar Rakowski siedział w zaparkowanym przed operą nieoznakowanym radiowozie i popijał kawę z termosu. Deszcz bębnił w dach poloneza, muzyka grała cicho w tle. Włączył na kilka minut silnik, żeby zaczęło działać ogrzewanie i odparowały szyby. Miasto było spokojne. W taki wieczór nawet pies z kulawą nogą nie wychylał nosa z budy. Rakowski lubił takie patrole. Nie przeszkadzało mu, że jeździł sam. W całym Wrocławiu nie było jednego policjanta, który chciałby zostać jego partnerem. Uważano go za złośliwego dziwaka. Pracował tylko na nocnych zmianach ze względu na chroniczną nadwrażliwość na światło słoneczne. Był albinosem i nawet niewielka dawka promieni UV powodowała u niego bolesną wysypkę. Natura wynagrodziła mu to niezwykłą zdolnością widzenia w ciemnościach. Dzięki temu miał doskonałe wyniki w łapaniu złodziei samochodów. Zwykle przyczajał się nocą na niestrzeżonych parkingach i czekał. Czasem nawet specjalnie rozbijał kamieniem jedną czy dwie latarnie. O tym, rzecz jasna, nie wspominał w raportach.

Miał trzydzieści trzy lata. Był wysokim, niezwykle chudym mężczyzną o wiecznie zmierzwionych włosach. Ze względu na różowe tęczówki oczu i długie zęby nadano mu za plecami przezwisko Wściekły Królik. Nie przywiązywał do tego większej wagi. Prowadził samotny tryb życia i opinie innych na jego temat mało go obchodziły.

Samochodem wstrząsnęło uderzenie wiatru. Wzdrygnął się i podkręcił ogrzewanie. Powieki zaczynały mu już ciążyć, gdy usłyszał wezwanie przez radio.

- Impreza na Podwalu, 42/13. Sąsiedzi skarżą się na głośną muzykę. Niech ktoś podjedzie to uciszyć.

- Rakowski, 2407, ja to wezmę, jestem w pobliżu – zameldował się.

- Przyjęłam – chłodny głos dyspozytorki upewnił go, że nadal jest na niego śmiertelnie obrażona.

No cóż, nie trzeba było go pytać, jak wygląda w nowej fryzurze i na dodatek oczekiwać szczerej odpowiedzi. Porównanie do zmokłego pudła i tak było najłagodniejsze z wszystkich, które przyszły mu do głowy.

Zapiął pas, włączył wycieraczki na najwyższą prędkość i wyjechał z parkingu. Strugi wody utrudniały prowadzenie samochodu, jechał ostrożnie. Ulice były puste. Dojazd na miejsce zabrał mu niecałe pięć minut. Spod siedzenia pasażera wyciągnął pelerynę i narzucił ją na kurtkę. Na wszelki wypadek upewnił się, że nowiutkie Parabellum tkwi w kaburze przy pasie. Nigdy nie mógł być pewien, jak pijani lub naćpani ludzie zareagują na jego widok. Kiedyś zmuszony był postrzelić w nogę mężczyznę, który pod wpływem grzybów uznał go za demona i zaatakował kuchennym nożem.

Wyłączył silnik i zgasił światła. Przytrzymując kaptur peleryny na czole przebiegł pod osłonę dachu przy wejściu do klatki. Zadzwoił domofonem pod numer 12.

- Policja, proszę otworzyć.

Wszedł po schodach na trzecie piętro. Muzykę słyszeć było na całej klatce schodowej. REM, przynajmniej mają niezły gust – pomyślał. Drzwi w mieszkaniu obok otworzyły się i na korytarz wyjrzała zaciekawiona staruszka.

- A bo on tak już od miesiący wychodził tylko po alkohol, skaranie boskie panie władzo! - zaskrzeczała usłużnie.

- Proszę wejść do mieszkania i zamknąć się... – polecił Rakowski. Po ledwo zauważalnej przerwie dodał – ...od środka

Podszedł do drzwi oznaczonych numerem trzynaście i załomotał w nie pięścią.

- Policja! Proszę otworzyć!

Odczekał chwilę i ponownie uderzył pięścią w drewno.

- Policja! Proszę natychmiast uciszyć muzykę i otworzyć drzwi!

Nagle z mieszkania rozległ się potępieńczy skowyt. Rakowski odskoczył jak oparzony. Potknął się o pozostawiony na korytarzu worek ze śmieciami i stoczył po schodach na półpiętro. Oszołomiony, obmacał poobijane miejsca. Na szczęście nic nie złamał. Pokonując po dwa stopnie na raz wbiegł na piętro, dobył broni, kopnięciem otworzył drzwi i wpadł do środka. Serce waliło mu jak oszalałe. Nigdy w życiu nie słyszał wycia tak przepełnionego cierpieniem. Muzyka ryczała z czterech wielkich głośników. Omiótł wzrokiem pokój i zaklął, gdy zauważył dyndające pod sufitem zwłoki. Zawahał się na ułamek sekundy. Wisielec mógł być jeszcze do odratowania. Przypomniawszy sobie skowyt, który usłyszał przed momentem i włosy zjeżyły mu się na karku. Z pewnością nie był to samobójca, siność twarzy wskazywała, że nie żył już co najmniej kilka minut. Przebiegł przez pokój i otworzył ostrożnie drzwi do łazienki. Adrenalina buzowała w jego żyłach jak wściekła, gdy odsuwał zasłonę prysznicową. Nic. Zaskoczony rozejrzał się po kawalerce. Nie było tu miejsca, aby ukrył się ktoś trzeci. Wyszarpnął kabel zasilający z wieży. Zapadła cisza. Wydobył radiotelefon i wezwał pomoc.

Odciał samobójcę i rozpoczął reanimację. Po kilku minutach w drzwiach stanęła wścibska sąsiadka.

- Jezus, Maria! - krzyknęła i przycisnęła dłoń do piersi.

- Niech pani się wynosi! - wrzasnął policjant. - Nie dam rady reanimować jeszcze pani! Nie słyszała pani tego wycia? Tu może być niebezpiecznie!

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie.

- Synku, a czy tobie czasem się z tą piekielną muzyką nie pomyliło? Głucha to ja jeszcze nie jestem, a jedyne wycie, jakie słyszałam, właśnie wyłączyłeś.

Rakowski nie zaprzestając masażu serca zerknął na nią zdumiony.

- No co też pani opowiada, pewnie w całym bloku było słyszeć! W życiu się tak nie przestraszyłem.

Nie doczekał się odpowiedzi. Do kawalerki wbiegło dwóch sanitariuszy i przejęli reanimację a staruszka wycofała się do swojego mieszkania.

Policjant rozejrzał się po pokoju. Wisielec do miłośników porządku najwyraźniej nie należał. Takiego bałaganu nie powstydziliby się nawet wieczny student. Brodząc wśród stosów butelek i opakowań po pizzy przeszukał mieszkanie. Znalazł elegancki portfel i przejrzał pobieżnie zawartość. Spory plik stuzłotowych banknotów, złota karta kredytowa. Spojrzał na dowód osobisty. Damian Dworak na pewno nie powiesił się z ubóstwa. Jego wzrok padł na figurkę smoka leżącą wśród pustych butelek. Tknięty przeczuciem podniósł ją, aby lepiej się przyjrzeć. Była zimna niczym płyta nagrobna. Wyglądała na bardzo starą. Nagle wzdrygnął, jakby śmierć musnęła go delikatnie po karku. Przedramiona pokryły mu się gęsią skórą. Z niewytłumaczalną ulgą rzucił rzeźbionego gada na łóżko i

odruchowo wytarł ręce o spodnie. Popatrzył podejrzliwie na figurkę, ale ta wydawała się obojętna na rozgrywające się wokół niej wydarzenia. Wzruszył ramionami i zaczął przeszukiwać szafę.

Po pewnym czasie sanitariusze przerwali reanimację.

- To nie ma sensu - rzucił jeden z nich. - Zbyt długo nie żyje. Pakujemy go do worka i wieziemy do kostnicy.

- Dobra - Rakowski podniósł wzrok nad raportu, który właśnie spisywał. - Podpiszcie się tu i tu, miejmy to z głowy.

#

Jechał wolno przez zalewane deszczem miasto w kierunku ulicy Trzemeskiej. Wyjął ze schowka paczkę papierosów. W radiowozach nie wolno było palić, ale miał to gdzieś. Po pierwsze jeździł sam, a po drugie dostał najgorsze auto w całej policyjnej flocie. Podejrzewał, że ktoś doniósł komendantowi, iż nazwał go tłustym skąpcem. Kiedy on przestanie nim jeździć, najpewniej zostanie zezłomowane.

Radio ożyło.

- Rakowski zgłoś się!

- Rakowski, słucham - rzucił do mikrofonu.

- Gdzie jesteś?

- Przy Ostrowie Tumskim, a co?

- Ktoś zgłosił paskudny wypadek karetki pogotowia. Z nieustalonych przyczyn wykonała kilka gwałtownych manewrów i uderzyła w latarnię na skrzyżowaniu Dworcowej i Kościuszki. To pewnie ci twoi od wisielca. Jedź zobaczyć, co się stało. Pomoc jest w drodze.

- Jasny szlag! - zgrzytnął zębami albinos. - Już jadę.

Otworzył okno i wystawił na dach koguta. Nim zdołał podnieść szybę oporną korbką, zdążył nieźle zmoknąć i stracić ledwo odpalonego papierosa. W ponurym nastroju przycisnął gaz. Polonez rozpędzał się powoli, ale gdy mijał Galerię Dominikańską, licznik wskazywał przyzwoitą szybkość. Wpadł z poślizgiem z powrotem w Podwale. Samochód zatańczył niebezpiecznie na mokrej kostce brukowej, ale udało mu się opanować kierownicę. Gdy wjechał w Dworcową, już z daleka zobaczył miejsce wypadku. Przekrzywiona latarnia migła nieregularnie, a spod maski zniszczonej karetki buchały kłęby pary.

Zahamował z piskiem opon i wyskoczył z latarką w rękę. Poświecił do wnętrza wraku. Martwy kierowca z rozerwanym gardłem siedział bezwładnie w fotelu. Krew spływająca na biały kitel odcinała się jaskrawą plamą. Tak nie wyglądają skutki wypadku! - przemknęło przez głowę policjanta. Dobył broni i ostrożnie przekradł się na tył pojazdu. Szarpnięciem otworzył drzwi z tyłu karetki. To, co zobaczył sprawiło, że żółć podeszła mu do gardła.

Na podłodze leżał drugi z sanitariuszy. Jego nogi kopały powietrze w agonalnych drgawkach. Nad nim, przyssany do rozerwanego gardła, pochylał się Damian Dworak.

Minęło kilka chwil, nim Rakowski zdołał się otrząsnąć z szoku.

- Stój - zaskrzeczał przez ściśnięte ze strachu gardło. - Zostaw go i podnieś ręce nad głowę!

Mężczyzna nie zareagował. Odgłosy ssania, które dobiegały do uszu policjanta, przyprawiały go o mdłości. Nie miał zamiaru bawić się w wielokrotne ostrzeżenia. Nie będzie to pierwszy raz, gdy skłamię przy sporządzaniu raportu. Bez namysłu wycelował i pociągnął za spust. Pistolet szarpnął się w jego dłoni, kula rzuciła

trafionym w ramię Dworakiem o ścianę karetki. Z małą zręcznością zerwał się na nogi i spojrzał na policjanta. Białka oczu miał czarne niczym smoła, a usta i brodę umazane krwią. Z gardła wyrwało mu się nienawistne syczenie i rzucił się na albinosa. Rakowski zdołał oddać dwa szybkie strzały, lecz kule wydawały się nie odnosić skutku. Silny cios wytrącił pistolet z jego dłoni. Napastnik powalił go na ziemię i przygwoździł swoim ciężarem, prychając wściekle. Albinos wbił łokieć w jego gardło, ale równie dobrze mógłby zatrzymywać czołg patykiem. Zakrwawione zacisnęły się na krtani policjanta. Ostatkiem sił sięgnął do kieszeni i wyciągnął sprężynowca. Otworzył go i wbił głęboko pod żebra mężczyzny. Dworak zawarczał rozjuszony i odtrącił rękę Rakowskiego, jakby odganiał się od muchy. Nóż wyleciał z dłoni policjanta i wbił się w cień, który w migającym świetle rzucał szalenie.

Skowyt bólu poraził wszystkie zmysły słabnącego albinosa. Ucisk zniknął z jego krtani. Przez mroczki, które latały mu już przed oczami, dostrzegł uciekającego w mrok mężczyznę. Zanim osunął się w niebyt, usłyszał sygnał nadjeżdżającej pomocy.

Gdy się ocknął, leżał w suchym i ciepłym wnętrzu ambulansu. Obok niego siedział znajomy lekarz i z troską przypatrywał się policjantowi.

- Jak się czujesz, Bożydar? - spytał cicho. - Możesz mówić? Ktoś nieźle poharatał ci gardło.

Rakowski odchrząknął i skrzywił się, gdy poczuł silny ból.

- Nie uwierzysz, jak ci powiem, Stachu - wychrypiał z trudem.

Medyk nalał z termosu gorącej herbaty i podał albinosowi.

- Masz, powinno trochę pomóc. Ostrożnie, to niemal wrzątek, w dodatku z prądem. Trzymamy właśnie na takie okazje...

- Dzięki - uśmiechnął się z wdzięcznością Rakowski. Przyjemne ciepło rozeszło się po jego żołądku, gdy pociągnął ostrożny łyk.

- Na zewnątrz czekają twoi ludzie - Stanisław ruchem głowy wskazał na zamknięte drzwi ambulansu. - Chcą cię jak najszybciej przesłuchać. Gdy tu dotarliśmy, byłeś nieprzytomny, a załoga tamtej karetki nie żyła. Widziałem w życiu masę ofiar wypadków, Bożydar. Oni zostali brutalnie zamordowani.

Policjant popatrzył przez okno w drzwiach na ulicę. Latarnia wciąż migotała, nadając całej scenie niesamowity wymiar.

- Jeśli ci opowiem to, co stało się naprawdę, w ciągu godziny wyląduję w szpitalu psychiatrycznym - mruknął, nie odwracając głowy od okna.

- Daję ci słowo, że zostanie to między nami. Do kurwy nędzy, Bożydar, tam zginęli moi kumple!

- No dobra - poddał się niechętnie albinos. Pociągnął solidny łyk herbaty. - Zostałem dzisiaj wezwany do uciszenia imprezy. Rutynowa sprawa. Walilem pięścią w drzwi, ale nikt nie otwierał. W pewnym momencie usłyszałem... skowyt. Mówię ci Stachu, czegoś takiego w życiu nie słyszałem. Aż mnie ciarki przechodzą na samo wspomnienie. Myślałem, że kogoś mordują albo coś. Wyważyłem drzwi. W środku dyndał sobie grzecznie na sznurze od bielizny jakiś facet. Palant nie żył pewnie dobrą chwilę, był cały siny i już się nie szarpał. Przeszukałem mieszkanie, ale nie znalazłem nikogo innego. Nikogo, kapujesz? To była pieprzona kawalerka, nie było się gdzie schować. Mało się nie zesrałem ze strachu! Co mogło tak wyć? Odciałem truposza i zacząłem reanimację. Wtedy wpada jakaś

zwariowana sąsiadka i wmawia mi, że nie słyszała żadnego skowytu, mimo że mieszka za ścianą! Głuche próchno, ale poczułem się dziwnie. Później przyjechali wasi i stwierdzili zgon po półgodzinnej reanimacji. To były zimne zwłoki, rozumiesz?

Medyk słuchał w milczeniu, nie przerywając. Skinął zachęcająco głową.

- Niedługo później dostałem wezwanie do tego wypadku. Gdy przyjechałem, Dworak, ten, który się powiesił, wysysał krew z rozerwanego gardła sanitariusza z tyłu karetki. Strzeliłem do niego trzy razy, widziałem, jak dostał, ale równie dobrze mógłbym w niego rzucać grochem. Zaatakował mnie, był silny jak pieprzony Pudzianowski. Wsadziłem mu kosę pod żebra i nic. Nawet gdyby się naćpał PCP, nie przeżyłby takich ran. Wybił mi nóż z ręki, widziałem, jak wbił się w jego cień. I wiesz co? Zabolało go! I to na tyle mocno, że spierdolił gdzieś w noc.

- Wiesz co? - lekarz popatrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy. - Myślę, że powinieneś się wybrać jutro na Świebodzką do psychiatrika...

- Wiedziałem, że nie powinienem ci tego mówić!

- ...i zapytać o niejakiego Tomasza Połomskiego. Jest na drugim oddziale obserwacji sądowych. Wydaje mi się, że słyszałem już podobną historię, ale do dzisiaj wkładałem ją między urojenia szaleńca. Znamy się jednak zbyt długo, żebym podejrzewał cię o taką wyobraźnię.

Rakowski spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Chcesz powiedzieć...

- Niczego nie chcę powiedzieć. Dopij herbatę, powiem twoim ludziom, że mogą z tobą porozmawiać. Aha, radziłbym Ci

odwiedzić Połomskiego nocą. Jak poświecisz odznaką, to powinni cię wpuścić. W dzień śpi i nic z niego nie wyciągniesz.

Ledwo otworzył drzwi ambulansu, pojawiła się w nich nalana twarz podinspektora Bromskiego.

- Rakowski do jasnej cholery co tu się stało?

Nie czekając na odpowiedź wgramolił się do środka i zdjął przemoczony płaszcz.

- Gadaj, Królik – wyjął notes i długopis. – Panie doktorze, będzie pan uprzejmy przejść do kabiny kierowcy i puścić sobie jakąś muzyczkę.

Albinos poczekał, aż Górski zniknie z przodu ambulansu, po czym wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, panie inspektorze. Ta rozbita karetka odwoziła wisielca, którego znalazłem na Podwalu podczas rutynowej interwencji przy naruszeniu ciszy nocnej. Gdy dotarłem tutaj, jakiś mężczyzna ubabrany krwią wyskoczył z karetki i zaatakował mnie. Strzeliłem, ale musiałem chybić, bo wytrącił mi broń i zaczął dusić. Musiało go spłoszyć nadjechanie ambulansu.

- Skąd się wziął w karetkce? – zmarszczył brwi Bromski. – I gdzie te zwłoki, które wieźli?

- Wydaje mi się, panie inspektorze, że reanimacja podziałała. Podejrzewam, że w szale zamordował sanitariuszy. Rozpoznałem go, to był Damian Dworak, ten sam, którego odciąłem ze sznura.

- Motyw słaby, ale kto tam zrozumie samobójcę. Dobra, Królik, czekam na twój pełny raport. Później weź dwa dni chorobowego, doprowadź się do porządku. Wyglądasz jak gówno, które wpadło w wentylator.

#

Rakowski wrócił do siebie krótko po północy. Mieszkał skromnie na czterdziestu metrach kwadratowych, które miał spłacać jeszcze dwadzieścia lat. Wziął szybki prysznic, owinał w znoszony szlafrok i powlókł do sypialni. Rzucił się na niezaścielone łóżko. Sięgnął po pilota od mini wieży i nastawił cicho jakiś chillout, który zarekwirował kilka dni temu chińskim piratom. W połączeniu z szumiącym za oknem deszczem dawało to kojący efekt. Krtań bolała go jak cholera, a adrenalina, która buzowała wciąż w jego żyłach, nie dawała mu zasnąć. Przez głowę przelatowały mu dziesiątki myśli, gdy starał się racjonalnie wytłumaczyć wydarzenia dzisiejszej w nocy. Wreszcie z westchnieniem wstał z łóżka i włączył swój stary komputer. W dobie wielordzeniowych procesorów maszyna bardziej nadawała się do utylizacji, niż użytkowania, ale w zupełności wystarczała mu do przeglądania Internetu i wysyłania poczty. W czasie, gdy Windows ładował się leniwie, Bożydar po ciemku poszedł do kuchni i wyciągnął z lodówki piwo. Przelał je do kufła, który kilka tygodni temu wyniósł z jednej z pobliskich knajp. Pociągnął kilka długich łyków i poczuł, jak napięcie powoli z niego schodzi. Zimny płyn kołło bolące gardło. Wrócił do pokoju i usiadł w zdezelowanym fotelu. Położył klawiaturę na kolanach i uruchomił Google.

- Nóż w cień – wyszeptał, wpisując hasło w wyszukiwarce.

Przejrzał pobieżnie pierwsze dziesięć rezultatów. Nic nadzwyczajnego.

- No to może wbić nóż w cień.

Znów nic.

- Nóż w jego cień? – pociągnął kolejny łyk piwa i aż się zakrztusił, gdy zobaczył wynik wyszukiwania.

- Wąpierz, czy też wampira, można skutecznie odstraszyć, wbijając nóż w jego cień – przeczytał głośno.

Z niedowierzaniem zagłębił się w lekturze. Wąpierzami, według wierzeń słowiańskich, stawali się ludzie przekłęci za życia, samobójcy. Tkwiącego w ożywionym trupie demona można było unicestwić przebijając jego serce osinowym kołkiem. Dla pewności należało go pochować z odciętą głowę umieszczoną między nogami.

- Nie, no chyba mi odbiło – zachnął się wyłączył komputer. – Wampiry we Wrocławiu. Idź się leczyć, Rakowski.

Powlókł się z powrotem do sypialni, lecz niespokojne myśli nie dawały mu zasnąć. Poza tym spanie w nocy nie leżało w jego naturze. Przez swoją chroniczną nadwrażliwość na promieniowanie UV dnię spędzał w łóżku, a nocami wychodził w miasto. Zakupy robił wyłącznie, gdy było niebo było zasnuć ciężkimi chmurami, bądź po zachodzie słońca.

Przewracał się z boku na bok, wreszcie wstał i włączył kablówkę. Wyjął z lodówki zimną pizzę, otworzył drugie piwo i gapił się bezmyślnie kolejną powtórkę Brudnego Harry'ego. Z przyzwyczajenia włączył policyjne radio i ustawił na nasłuch.

Minęła druga po północy, gdy usłyszał w radiostacji przejęty głos młodego policjanta:

- Natychmiast przyślijcie wsparcie do klasztoru kapucynów na ulicy Sztabowej! Jakiś wariat wdarł się do części mieszkalnej i zamordował trzech braci zakonnych! Mój Boże, tu jest jatka jak w rzeźni, oni mają chyba poprzegryzane gardła!

- Wsparcie w drodze – zatrzeszczało radio. – Co z resztą zakonników?

- Zamknęli się w kościele, chyba morderca tam nie wszedł.

Rakowski nie słuchał dalszej wymiany zdań. Ubierał się drżącymi rękami, myśląc intensywnie. To nie mógł być zbieg okoliczności. Klasztor był stosunkowo niezbyt oddalony od miejsca wypadku karetki, a sposób popełnienia zbrodni wskazywał na robotę Dworaka. Przez chwilę z wahaniem patrzył na lodówkę. W końcu lekko zażenowany otworzył ją i wyjął główkę czosnku. Starym myśliwskim nożem obrał dwa ząbki, natarł sokiem ostrze, po czym krzywiąc się lekko pogryzł resztki i przełknął. Narzucił na siebie kurtę od sztormiaka, wsunął do kieszeni policyjną odznakę i pistolet, a wielki nóż przypiął do pasa. Omiótł mieszkanie szybkim spojrzeniem, wyłączył wieżę i telewizor. Założył wojskowe buciory i wyszedł na pograżoną w półmroku klatkę. Nieufnie rozejrzał się wokoło. Drzwi zatrzasnęły się ze skrzypnięciem, które sprawiło, że jego dłonie zrobiły się lepkie od potu. Z ręką na rękojeści noża zbiegł po schodach i wydostał się na ciemne podwórze.

Deszcz i wiatr uderzyły go w twarz. Zmrużył oczy i rozejrzał się dookoła. Widział wszystko zupełnie wyraźnie. Noc nie była dla niego czarna, ale miała wiele odcieni szarości. Pochylony pobiegł do samochodu. Odblokował zamek w drzwiach i uderzył silnie pięścią tuż powyżej dziurki od klucza. Tylko tak można było otworzyć starego poloneza od strony kierowcy. Wsiadł, nawet nie próbując otrzepać kurtki z wody. Zapalił silnik i włączył światła. Przez chwilę wydawało mu się, że jakiś cień mignął między zaparkowanymi pojazdami, lecz w tym momencie błyskawica przecięła niebo i zwałił to na karb swojej rozedrganej wyobraźni.

Wyjechał na ulicę i rozpędził auto bardziej, niż podpowiadał mu to rozsądek. Wycieraczki ledwo nadążały z odprowadzaniem deszczu. Czy ta cholerna burza kiedyś się skończy? – pomyślał poirytowany.

Z przeciwnej strony rozbłysły światła jadących na sygnale karetek i policji. Zaśniły w kroplach wody na przedniej szybie, oślepiając go na moment. Przyhamował, zarzuciło nim na mokrym bruku. Z trudem opanował kierownicę i dalej pędził pustymi ulicami miasta. Dojazd do szpitala zabrał mu niewiele ponad dziesięć minut. Zostawił samochód na zakazie postoju i pobiegł do wejścia do budynku. Drzwi były zamknięte, lecz gdy zadzwonił domofonem, usłyszał opryskliwy głos:

- Czego? Nie wie, która godzina?

Rakowski spojrzał w górę i zobaczył oko kamery. Wydobył odznakę i przybliżył ją do obiektywu.

- Policja, proszę mnie wpuścić.

- Godzina odwiedzin już dawno minęła, przyjdzie jutro.

- Posłuchaj mnie pan, jeśli cenisz sobie tą ciepłą posadkę stróża, radzę otworzyć drzwi. Macie tutaj oddział obserwacji sądowych i muszę się tam dostać.

Po chwili obrażonej ciszy zamek zabrzęczał i Rakowski wszedł do środka. Wbiegł po schodach na górę. Za biurkiem zastał czterdziestoletniego, łysiejącego ochroniarza ze słuchawkami na uszach.

- Dziękuję - spróbował się uśmiechnąć pojednawczo. - Przepraszam za moją obcesowość, to naprawdę poważna sprawa. Macie tutaj niejakiego Tomasza Połomskiego pod obserwacją sądową, muszę się z nim zobaczyć.

Wciąż naburmuszony stróż spojrzał na niego chłodno, nie racząc zdjąć z uszu słuchawek.

- To musi zatwierdzić doktor Drzewiecki, a on będzie dopiero rano - oznajmił z wyraźną satysfakcją. - Niepotrzebnie się odgrażał, nie

mogę mu pomóc.

- No to łapie za telefon i budzi pana doktora – wycedził przez zęby Rakowski, przedrzeżniając jego sposób mówienia.

- Wtedy to już na pewno wylecę z roboty, więc zaryzykuję policyjne groźby – uśmiechnął się drwiąco ochroniarz.

Albinos zabębnił nerwowo palcami o blat biurka. Nagle oczy załśniły mu zimno.

- iPod? – ruchem głowy wskazał sprzęt, z którego odtwarzał muzykę mężczyzna. – Fajny sprzęt, nie? Dwadzieścia giga? Niezły, pewnie sporo kawałków tam wchodzi?

Ochroniarz popatrzył na niego niepewnie.

- Wchodzi, a co?

- A to, że jestem ciekaw, ile z nich jest oryginalnych – Rakowski popatrzył na niego twardo. – Pewnie ani jeden. Przy założeniu, że byłeś na tyle głupi, żeby zapchać cały twardy dysk, będzie cię to kosztowało kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Nagła bladość, która pojawiła się na twarzy stróża sprawiła mu dziką przyjemność.

- Tomasz Połomski – wycedził. – Oddział obserwacji sądowych. Teraz.

- Korytarzem prosto do końca, schodami do góry i na prawo – w drżącym głosie mężczyzny dało się wyczuć ulgę. – Tutaj jest przepustka, żeby Józek nie robił panu problemów, a tu klucze do celi numer dwanaście.

Policjant skinął głową i bez słowa ruszył we wskazanym kierunku. Jego kroki odbijały się echem w uśpionym szpitalu. Wspiął się po schodach, pchnął skrzypiące skrzydło drzwi i znalazł się przed kratą na oddziale sądowym. Z dyżurki wyszedł potężnie wyglądający

pielęgniarsz, ale gdy zobaczył policyjną przepustkę, otworzył bramę i wycofał się w milczeniu.

Rakowski szybkim krokiem mijał kolejne cele, aż dotarł do szukanych drzwi. Światło, które sączyło się spod spodu powiedziało mu, że jej lokator jeszcze nie śpi. Nie bawiąc się w pukanie, wsadził klucz do zamka i przekręcił. Wszedł do środka i stanął jak wryty. Mieszkaniec celi numer dwanaście był albinosem.

#

- Wiedziałem, że prędzej czy później jeden z nas mnie odwiedzi – odezwał się Połomski. Miał na oko ponad pięćdziesiąt lat. Jego głos był niski i przyjemny w brzmieniu, z gatunku radiowych. Wskazał na jedyne krzesło w celi – Usiądź proszę.

Wciąż zaskoczony Rakowski posłusznie wykonał polecenie i dopiero teraz przyjrzał mu się uważniej. W przeciwieństwie do niego drugi albinos był niski, miał potężną, barczystą sylwetkę i mięśnie, których nie powstydziliby się zawodowy kulturysta. Jego twarz przecinały głębokie blizny, a lewe oko zasnuwało bielmo. Brakowało mu też lewego ucha, czego nawet nie starał się zamaskować kręconymi włosami.

- Jeden z nas? - spytał po chwili, gdy miał pewność, że głos mu nie zadrży. - Masz na myśli albinosów?

- Mam na myśli łowczych – Połomski uśmiechnął się zagadkowo.

Pamiętaj, że rozmawiasz ze świrem – przemknęło przez głowę policjanta.

- Łowczych, rozumiem – powiedział głośno.

- A jednak myślę, że nie rozumiesz – odparł łagodnie jego rozmówca. - Pozwól że zgadnę. Urodziłeś się dokładnie dziewięć

miesiący i jeden dzień po śmierci ojca, który zmarł gwałtowną lub samobójczą śmiercią. Matka twierdzi, że jesteś owocem ostatniej nocy, jaką z nim spędziła. Masz zapewne jakąś zdolność, która rekompensuje chroniczną nadwrażliwość na słońce. Co to jest? Nadzwyczajny węch? Widzenie w ciemnościach? Na osiłka nie wyglądasz.

Rakowski popatrzył na niego zdumiony. Jego ojciec został zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach w noc jego poczęcia.

- Kim do cholery jesteś?

- Już ci powiedziałem. Łowczym, jak ty.

- Skąd wiesz, że świetnie widzę w ciemnościach? Nikomu o tym nie mówiłem. I kim u diabła są ci łowczy?

W odpowiedzi Połomski wstał z łóżka, podszedł do zakratowanego okna i bez wysiłku rozciągnął stalowe pręty.

- Każdy z nas ma coś, co pomaga mu przeżyć. Nic nadprzyrodzonego, ale bywa pożyteczne.

- Każdy z nas? O czym ty mówisz? - Rakowski potrząsnął głową w oszołomieniu. - Co za popieprzona noc...

Mężczyzna popatrzył na niego czujnie.

- Co się stało tej nocy?

- Wisielec, którego osobiście odciąłem ze sznura, przegryzł gardła kilku ludziom. Jakkolwiek to nie brzmi.

Połomski z wściekłością uderzył pięścią w ścianę, aż odpadł tynk.

- Przeklęty pech! Dać się złapać miesiąc przed tym, jak narodził się kolejny wąpierz!

Na twarzy policjanta pojawił się wymuszony uśmiech.

- No to już wiem, dlaczego cię tutaj zamknęli.

- Gównu wiesz. Zaraz mi powiesz, że nie wierzysz w wampierze, a czosnku nażarłeś się, bo lubisz.

Cięta odpowiedź zastygła niewypowiedziana w gardle Rakowskiego.

- Zamknij się na chwilę i posłuchaj. Czy chcesz, czy nie, dookoła ciebie od wieków toczy się wojna. Konkretnie od 966 roku naszej ery, gdy Mieszko I schrystianizował swoje państwo. Pogańscy kapłani nagle utracili swoje wpływy, a mroczne bóstwa zapłonęły gniewem, przysięgając zniszczyć nowego Boga. Żeby być dokładnym, najbardziej spał się Czarnobóg, pan złego losu. Wezwał Wiję, smoka zamieszkującego podziemia, by zgromadził armię demonów i starł ze świętych gajów wszelki ślad nowej wiary. Wij sam nie mógł opuścić podziemi, gdyż jego powieki były tak ciężkie, że niemal cały czas spał. Nie chciałbyś jednak, by stworzył choć jedno oko w twojej obecności. Zamiast tego podległe mu pomniejsze demony wykonały jego wierne kamienne kopie, które przeklęte przez smoka zostały podrzucone w różnych częściach mieszkowego państwa.

Na wzmiankę o kamiennym gadzie Rakowski drgnął i poczuł lodowaty dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Kolejny kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce.

- Owe figurki posiadały specyficzną moc – kontynuował Połomski.
- Doprowadzały do szaleństwa i w efekcie do samobójstwa każdego, kto był w ich posiadaniu. Klątwa smoka sprawiła, że posążków nie można było w żaden sposób zniszczyć. Dawało im to stuprocentową skuteczność. Duchy samobójców należały do Czarnoboga, który dał Wijowi moc ożywiania ich pod postacią wampierów. Krótko mówiąc żywych trupów żywiących się ludzką krwią. Ich zadaniem było

sianie zwątpienia w moc nowego Boga poprzez krwawe mordy na Jego wyznawcach i kapłanach. W akcie rozpaczy Jordan, biskup na dworze Mieszka, spróbował odprawić egzorcyzmy. Średnio skuteczne, powiedziałbym. Powstał sposób na ocalenie nieszczęśnika, który był w posiadaniu smoczej rzeźby. Wystarczyło... z premedytacją sprzedać ją nieświadomemu jej mocy człowiekowi. Szczerze mówiąc, jestem przekonany, że w tym również maczał palce Czarnobóg. Wyobraź sobie wyznawców tak zwanej wiary miłości, którzy z premedytacją sprowadzają niebezpieczeństwo na bliźniego. Musiało mu to sprawiać nie lada ubaw. Ale do rzeczy. Nieoczekiwanie wąpierz mnożyły się jeszcze szybciej. Okazało się, że jeśli poprzedni właściciel smoczego posążka ginął, nim zdołał się wypowiedzieć, jego potępiony duch również wpadał w łapy Wija. Domyśl się, na kogo zatem polowały pomniejsze wijowe demony. Później na świecie pojawił się pierwszy łowczy. Podania mówią, że poczęcie łowczego następuje w noc śmierci jego ojca, gdy świeżo ożywiony wąpierz powraca on po raz ostatni do małżeńskiego łóża. Czuję w tym rękę Peruna, który od wieków toczył wojnę z Czarnobogiem. Łowczy jest albinosem, który, tak jak wąpierz, prowadzi nocny tryb życia. Niemożność przebywania w promieniach słońca zwykle osładzana jest inną zdolnością, taką jak czuły węch, wielka siła i takie tam. Jednak najcenniejszą umiejętnością łowczych jest niszczenie smoczych rzeźb. Niewiele już ich zostało. Wiara chrześcijańska umocniła się na tyle, że Wij nie ma już wystarczającej siły, by przekląć kolejne. Jeśli jednak pojawią się nowi wyznawcy Czarnoboga, potęga smoka wzrośnie i znów staniemy w obliczu wąpierzowej plagi. Dlatego tak ważne jest wytropienie i zniszczenie każdego ożywionego trupa i

każdej wijowej podobizny, zanim jakaś sekta domyśli się istnienia tych demonów i obierze je sobie za cel kultu.

Połomski przerwał i popatrzył podejrzliwie na swojego gościa.

- Coś tak zbladł? - zapytał podejrzliwie.

- W mieszkaniu tego samobójcy znalazłem jedną z nich. To znaczy jedną z tych figurek.

- Niech to szlag! - więzień uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Teraz na pewno już jej tam nie ma. Jeden z demonów Wija zabrał ją, by podrzucić ją komuś innemu.

- Powinienem był ją rozwalić - zasępił się Rakowski. - Czułem, że coś jest z nią nie tak, czułem to, jak jasna cholera!

- Ale nie rozwalileś, nie? Więc nie ma o czym mówić. Teraz słuchaj, bo czeka cię poważniejsza robota. Musisz dorwać tego wąpierza, zanim narobi syfu.

- Już narobił - przerwał mu wciąż nachmurzony policjant. - Urządził sobie rzeź w klasztorze kapucynów.

- Kurwa mać! - zgrzytnął zębami Połomski. - Że też musiałem dać się złapać...

- Za co właściwie tutaj siedzisz?

- Dorwałem wąpierzycę, która urządziła sobie łowy na księży na Psim Polu. Niestety policja wpadła w chwili, gdy odrąbałem jej głowę tasakiem. Jesionowy kołek, którym przebiłem jej serce, też nie robił najlepszego wrażenia. Koroner orzekł, że zmarła tydzień wcześniej, ktoś inny rozpoznał w niej samobójczynię, którą wyłowił z Odry. Nie postawiono mi zarzutów morderstwa, tylko profanację zwłok. Teraz codziennie mam wizytę psychiatry, który usiłuje mi wmówić, że zrobiłem to, bo mój ojciec też popełnił samobójstwo i za to go nienawidzę. Żałosne.

Nagle Rakowski popatrzył na niego ze zgrozą.

- Czyli że mój ojciec...

- Był wążem – skinął głową Połomski. - Być może to nawet ja wyprowadziłem go na wieczny odpoczynek.

- Za dużo tego jak na jedną noc...

- Weź się w garść człowieku, to jeszcze nie koniec. Musisz dorwać tego umarlaka, zanim urządzi sobie kolejną masakrę w innym klasztorze, a media nagłośnią sprawę. Krótko mówiąc dziś w nocy. Poza tym on wie, czym ty jesteś, więc najpewniej postara się zabić cię pierwszy.

- Zdaje się, że nie mam większego wyboru – powiedział kwaśno Rakowski. - Widzę tylko jeden problem. Strzelałem do sukinsyna, dźgałem go nożem, a on dalej chodzi.

- Nie słuchałeś. Żeby go zabić, będziesz musiał przebić jego serce osinowym kołkiem i odrąbać mu łepetynę. Byłoby nieźle, gdybyś na wszelki wypadek zakopał go z głową umieszczoną między nogami, ale możemy żyć i bez tego. Wystarczy go spalić. Poza tym one nie cierpią czosnku, którym pewnie przez przypadek obzarłeś się tak, że czuć cię w Zgorzelcu. Możesz nasmarować naboje czosnkowym sokiem, to go zaboli jak cholera. Bo nie przypuszczam, żebyś z policyjnej pensji był w stanie sprawić sobie srebrne pociski.

- Skąd wezmę jesionowy kołek? Wybacz, ale nie mam żadnego w kuchni.

Połomski uśmiechnął się tajemniczo, podniósł łóżko i wykręcił jedną z drewnianych nóg. Podał ją zaskoczonemu Rakowskiemu razem z kilkoma ząbkami czosnku, które wyciągnął z kieszeni.

- Ja wbiłbym go tak, jak jest, ale ty powinienes go naostrzyć. Dobrze jest mieć wiernych przyjaciół za murami, prawda?

- Tylko mi nie mów, że śpisz z tasakiem pod poduszką...
- Nie – pokręcił ponuro głową mężczyzna. - Skonfiskowano go po dwóch dniach, podczas pierwszej rewizji. Od tego czasu nie mam wizyt...

#

Rakowski niechętnie opuścił ciepłe wnętrze szpitala. W towarzystwie potężnie zbudowanego więźnia czuł się o wiele bezpieczniej, niż w zalewanych deszczem ciemnościach nocy. Wzdrygnął się, gdy niesiona wiatrem woda uderzyła go w oczy. Przebiegł kilka metrów dzielących go od poloneza, gdy nagle z hukiem pękła żarówka pobliskiej latarni. Zaalarmowany odrzucił kaptur, by nie ograniczać sobie pola widzenia. Rozejrzał się podejrzliwie po okolicy, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Pewnie deszcz – pomyślał nieprzekonany. Trzask drugiej latarni szybko wyprowadził go z błędu. Kątem oka dojrzał jakiś cień znikający w ciemnościach pobliskiej bramy. Drżącymi rękami usiłował otworzyć drzwi od strony kierowcy, gdy potężna siła cisnęła nim o maskę samochodu. Odbił się niczym szmaciana lalka i upadł ciężko w głęboką kałużę. Potrząsnął głową w oszołomieniu i poprzez deszcz spojrzał na uśmiechniętego szyderczo Dworaka.

- Tym razem nie rzucam cienia, panie władzo – wyszczerzył zęby wąpierz. - Więc jak mnie odpędzisz, biedactwo?

Mocne kopnięcie wyparło dech z piersi Rakowskiego. Usłyszał chrupnięcie kości i płomień bólu przeszył jego bok. Kaszląc i plując wodą zainkasował kolejny cios. Poczuł w ustach metaliczny smak krwi z rozbitych warg. Wypluł dwa złamane zęby. Zasłona

ciemności została na moment rozerwana przez błyskawicę. W jej widmowym blasku Dworak wyglądał upiornie.

- Żaden z ciebie łowczy, patałachu. Miałeś po prostu szczęście.

Policjant sięgnął do kieszeni i wydobyl pistolet. Wąpierz prychnął drwiąco.

- Już to przerabialiśmy.

- Nie, tego jeszcze nie! - wykrztusił Rakowski i pociągnął za spust. - A pan władza to był za komuny, dupku!

Uderzenia pocisków sprawiły, że upiór cofnął się o krok i zawył z bólu. Albinos wyraźnie widział, jak z trzech otworów po kulach unosi się dym. Wystrzelił ponownie, z ponurą satysfakcją słuchając wrzasków Dworaka. Wykrzywiony w cierpieniu wąpierz zasyczał z nienawiścią i umknął w noc. Rozbił pokrywę kanału i wskoczył do środka, by schronić się przed wysmarowanymi czosnkiem pociskami.

Rakowski dźwignął się ciężko na nogi. Był przemoczony do suchej nitki, brudny, a pulsowanie w boku i ból przy każdym oddechu mówiły mu wyraźnie, że ma złamane co najmniej jedno żebro. Splunął krwią i zwymiotował.

- Nieźle wyglądasz - usłyszał tuż za plecami znajomy głos.

Odwrócił się zaskoczony i ze zdumieniem dostrzegł Połomskiego, który stał na deszczu w szpitalnej piżamie.

- Co ty tu robisz? - otarł usta. - Jak się wydostałeś?

- Rozgąłem kratę w oknie i zszedłem po piorunochronie - wzruszył ramionami drugi albinos. - Pomyślałem, że może ci się przydać pomoc. Wybacz, że trochę się spóźniłem.

- Chcesz mi pomagać w piżamie z wariatkowa i bez butów? Dworak właśnie zaszył się w kanałach i zamierzam iść za nim.

- Daj mi chwilę.

Połomski zniknął w pobliskiej uliczce. Do rozległ się trzask rozbijanej szyby i jęk alarmu. Niedługo potem albinos wrócił ubrany w tani dres i trampki. Dopinał się w biegu. W lewej ręce trzymał małą latarkę.

- Szybko, do kanału. Ten sklep wynajmuje agencję ochrony, pewnie zaraz tu będą!

- Nie chcę nic wiedzieć – westchnął Rakowski i wręczył mu osinowy kołek, który wyciągnął zza pasa. - Jakby nie patrzeć, wciąż jestem policjantem...

Gdy dobiegli do rozbitego wjazdu, zza zakrętu wypadł na sygnale wóz ochrony. Pospiesznie skryli się w śmierdzących czeluściach kanału.

Srebrny Mondeo z logo agencji PRO zatrzymał się z piskiem opon tuż przy wjeździe. Ze środka wyskoczyło czterech uzbrojonych osiłków i niepewnie popatrzyło po sobie.

- Za cholerę tam nie wejść – oznajmił jeden z nich. - Nie płacą mi za taplanie się w gównie.

Dowódca patrolu popatrzył na niego twardo. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną z ogoloną głową i kwadratową szczęką.

- Wejdiesz tam, gdzie ci każę – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Po pierwsze, jest was trzech, a ich dwóch. Po drugie macie broń. A po trzecie, chyba nie muszę przypominać, jaką mamy premię za złapanie sprawców?

- Jak to kurwa trzech? - oburzył się ochroniarz, który odezwał się jako pierwszy. - A ty gdzie będziesz, Kafar?

- W centrum dowodzenia - dowódca wskazał na samochód ze złośliwym uśmiechem. - Coś ci nie pasuje, Młody?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Kafar niedbałym ruchem wsadził rękę do kieszeni kurtki i jego przeciwnik wzruszył ramionami, siląc się na lekceważącą pozę.

- Spoko, nie musimy przecież leżeć za nimi wszyscy.

Wiedział z doświadczenia, że w tej kieszeni jego dowódca nosi kastet, którego jak dotąd nigdy nie zawahał się użyć. Mamrocząc pod nosem najgorsze przekleństwa, jakie tylko przychodziły im do głowy, trzech ochroniarze zeszli do kanału. Na dole dobyli broni i powstrzymując wymioty nasłuchiwali przez chwilę. Z odnogi po lewej dobiegł ich głośny plusk. Ruszyli w tamtym kierunku. Omiatali latarkami ściany kanału, płosząc szczury i robactwo. Nagle strumień światła wyłuskał z ciemności sylwetkę mężczyzny, który sprawiał wrażenie, jakby wydłubywał coś z własnego ciała.

- Hej, ty! - krzyknął Młody. - Celujemy w ciebie z pistoletów! Podnieś powoli ręce nad głowę i nie wykonuj gwałtownych ruchów!

Nieznajomy odwrócił się twarzą do intruzów. Oczy zapłonęły mu głodnym blaskiem i rzucił się do gardła ochroniarza. Rozszarpał je długimi kłami, warcząc z pożądania. Młody zakrztusił się krwią i usiłował odepchnąć napastnika, ale słabł gwałtownie. Pozostała dwójka w przerażeniu otworzyła ogień, nie bacząc, że część pocisków trafia w plecy ich kolegi.

Huk wystrzałów i rozpaczliwe wrzaski poniosły się ogłuszającym echem po kanale. Dwaj łowczy, którzy przeszukiwali sąsiednią odnogę, przystanęli zaskoczeni.

- Skąd to dobiega? - starał się przekrzyczeć kakofonię dźwięków policjant.

- Chyba stamtąd - Połomski wskazał na czarną czeluść za ich plecami. - Nie mogą być daleko!

Nagle hałasy ustały. Jedynym dźwiękiem, który mącił grobową ciszę, były mdlące odgłosy siorbania i ssania.

- Pieprzone tępaki! - zazgrzytał zębami starszy łowczy. - Teraz zregeneruje rany, które mu zadałeś. Szybko, może zdążymy go dorwać podczas kolacji!

Pobiegli. Na przedzie Rakowski, dla którego mroki kanału wyglądały jak szarówka zmierzchu. W spoconych ze strachu dłoniach ścisnął pistolet. Nieco za nim biegł uzbrojony w jesionowy kołek drugi albinos, który oświeślał sobie drogę latarką. Gdy wypadli zza załomu, zastali już tylko zwłoki trzech ochroniarzy z zastygłym wyrazem przerażenia na twarzach. Gdzieś głębiej w kanale rozległ się głośny plusk.

- Chce, żebyśmy poszli za nim - oznajmił ponuro Połomski. - Zapewne wybierze sobie wygodniejsze miejsce do starcia, jak już całkowicie odzyska siły.

- Jakie mamy opcje?

- Żadnych. Musimy go dorwać, a to oznacza granie według jego reguł. Podziemia to domena Wija, tutaj jego stwory są najpotężniejsze.

Połomski podniósł jedną z latarek, które leżały w pobliżu ciał. Dawała o wiele więcej światła, niż ta, której używał do tej pory. Ruszyli dalej. Odór, który unosił się w powietrzu, zaczynał gęstnieć. Rakowski miał wrażenie, że pokrył jego język i podniebienie śliską warstwą, która z każdym oddechem spływała głębiej do gardła. Sплюwał co chwilę z obrzydzeniem.

Przyglądali się podejrzliwie każdemu zaułkowi, każdej kupce kamieni, które osypały się z uszkodzonych ścian, by ustrzec się przed zasadzką. Popiskiwanie szczurów i drapanie ich pazurków wywoływały u nich kolejne zastrzyki adrenaliny. Wkrótce obaj byli tak nabuzowani, że zaczęły im drżeć ręce. Nagle dwadzieścia kroków przed nimi przemknął jakiś cień. Policjant wystrzelił nerwowo i gdzieś z przodu usłyszał drwiący chichot.

- Nie marnuj amunicji - ofuknął go Połomski. - Zbyt dużo już wystrzelałeś przed szpitalem, jemu właśnie o to chodzi.

- Przepraszam, mam tak napięte nerwy, że pewnie zaraz popękają.

Rakowski jeszcze dwukrotnie dostrzegł Dworaka. Za każdym razem palec drgał mu na spuście, ale zdołał się powstrzymać przed strzelaniem do niepewnego celu. Oddychał ciężko. Ból promieniujący z połamanych żeber był nieco przytłumiony przez adrenalinę, ale obawiał się przebicia płuc przez strzaskane kości. Nagle kanał rozszerzył się w małą kryptę, z której odchodził szereg odnóg. Z kratki ściekowej w sklepieniu lała się strumieniem deszczówka, która powodowała, że woda zalegająca pomieszczenie nieustannie falowała. Zapewne dlatego nie zauważyli zawirowań na powierzchni, gdy ukryty pod powierzchnią stwór płynął w ich kierunku.

Rakowski wrzasnął z przerażenia, gdy zimne palce owinęły się wokół jego kostek i wciągnęły gwałtownie pod wodę. Upuścił broń, która znikła w mrocznej toni. Dzięki swemu niezwykłemu wzrokowi dostrzegł zielonkawą, napuchniętą twarz gnijącego trupa, który wyciągał ręce ku jego gardłu. Nagle silne dłonie chwyciły go za włosy i wyciągnęły na powierzchnię. Rozdygotany policjant

odczuł się w rekordowym tempie od zbiornika i zwymiotował połknietą wodę.

- Tam jest... Tam jest...

- Topielec – splunął na powierzchnię starszy łowczy. - Nie wiedziałem, że jakieś przetrwały. To dlatego ten przeklęty wąpierz nas tutaj ściągnął. Miał nadzieję, że przynajmniej jeden z nas zginie. Z dala od wody nic nam nie grozi...

Nagle zadygotał niczym nabita na oścień ryba. Wybałuszył oczy, usiłował coś powiedzieć, ale krew trysnęła mu przez otwarte usta. Rakowski ze zgrozą dostrzegł zardzewiały pręt, który wysunął się z piersi jego towarzysza. Połomski osunął się dno kanału. Za nim stał Dworak. Krew pokrywająca jego twarz przemieniła ją w upiorną maskę, w której błyszczały złe oczy.

- Wystarczy mi, że straciliście ten przeklęty pistolet. O waszą śmierć, jak widać, potrafię zadbać sam.

Policjant zarwał się na równe nogi i dobył noża. Serce waliło mu jak młotem.

- Niech zgadnę – wyszeptał wąpierz, zbliżając się wolno, acz nieustannie. - Ostrze pokryte sokiem z czosnku? Pozwolę sobie zauważyć, że właśnie je skąpałeś. Co najwyżej lekko mnie zapieczę.

Albinos popatrzył niepewnie na swoją mizerną broń. Dworak wykorzystał to i jednym susem pokonał dzielącą ich odległość. Rakowski rozpaczliwym ruchem wbił nóż w jego brzuch, lecz napastnik tylko zasyczał z bólu. Chwycił go za gardło i otworzył usta, wysuwając mordercze kły. Mężczyzna poczuł ciepłą wilgoć, która nieoczekiwanie spłynęła po jego nogawce. W tej samej chwili Dworak szarpnął się konwulsyjnie, wydał przyjmujący krzyk i

osunął bezwładnie. Z jego piersi wystawał jesionowy kołek. Za nim, chwiejąc się na nogach, stał Połomski.

- To by wyrównywało rachunki, sukinsynu - wyszeptał i upadł. Jego oczy wpatrywały się martwo w sklepienie.

Rakowski z niedowierzaniem popatrzył na nieruchomego wapiernia. Przypomniawszy sobie, co powiedział mu stary łowczy o zabijaniu upiorów. Sięgnął po tkwiący w brzuchu Dworaka nóż i bez wahania zaczął ciąć. Jutro wrócę tu z kanistrem benzyny. - pomyślał. Popatrzył przepaszajaco na martwego towarzysza i wyszeptał - Wybacz stary, ale jedyny pogrzeb, jaki moge ci urzadzic, to kremacja. Nie chce zajac twojej celi w wariatkowie...

Nóz zazgrzytał przejmujaco o kręgosłup. Zacisnął zęby z zwiększyl nacisk.

#

Bezdomny mężczyzna schronił się przed deszczem pod dachem klatki numer 42 na Podwalu. Był przemoczony do suchej nitki i dygotał z zimna. Kolejna błyskawica rozdarła ciężką zaslonę chmur i w jej blasku dostrzegł, że drzwi nie są zatrzaśnięte. Nikły uśmiech zagościł na jego zarośniętej twarzy. Wreszcie jakiś pozytywny aspekt dzisiejszej nocy. Wszedł do środka. Z doświadczenia wiedział, że bloki tego typu mają na poddaszu przejścia łączące wszystkie klatki i tam też było najcieplej. Ponadto istniała szansa, że jedna z suszarni będzie otwarta i będzie mógł zająć się mokrym ubraniem. Gdy dotarł na trzecie piętro, z zaciekawieniem przyjrzał się policyjnej taśmie. Blokowała drzwi do mieszkania pod numerem 13. Drzazgi wystajace z futryny na wysokości zamka zdradziły mu, że wejście do środka będzie dziecinna igraszka. Zawahał się przez chwilę. Nie

chciał narazić się na kłopoty z władzami, ale wizja wzięcia gorącego prysznica i spędzenia nocy w łóżku była kusząca. Koniec końców policyjna taśma gwarantowała, że wewnątrz nie ma mieszkańców, więc nikomu nie stanie się krzywda. Oblizął spierzchnięte wargi i pchnął drzwi. Otworzyły się zapraszająco. Przecisnął się ostrożnie, by w widoczny sposób nie uszkodzić blokady i wszedł do środka. W nikłym świetle zapalniczki omijał porozrzucone na podłodze butelki. Sprawdził, czy w małej kawalerce nie ma innych nielegalnych lokatorów. Aż westchnął z zachwytem, gdy w półmroku znalazł pół skrzynki whisky. Zrzucił ubranie i wszedł pod prysznic. Kusiło go, by odkręcić kurki do oporu, ale nie zrobił tego, by nie wzbudzać zainteresowania sąsiadów. Rozwiesił mokre rzeczy gdzie popadło, otworzył butelkę Ballantynes'a i wskoczył do łóżka. Zaklął cicho, gdy coś twardego wbiło się w jego plecy. Poświecił zapalniczką. Zaciekawiony obejrzał kamienną figurkę smoka i zastanowił się, ile też może być warta. Na pewno co najmniej stówę, pomyślał z zadowoleniem, po czym przyssał się do whisky. Przyjemne ciepło spłynęło strumieniem do żołądka.

Był już dosyć mocno zalany, gdy usłyszał pierwszy złowrogi szept.

